

PISARZ i AKTORKA

Jednym z najbardziej entuzjastycznych wielbicieli nie tylko talentu, ale osoby Heleny Modrzejewskiej był Henryk Sienkiewicz. Dowiadujemy się o tym z niedawno udostępnionej badaczom korespondencji prywatnej naszego pisarza. Zawiera ona poza szeregiem interesujących wynurzeń osobistych, szczególnie pewne go epizodu, który — jak się okazało — miał decydujące znaczenie dla kariery królowej scen polskich za granicą. Chodzi tu o wyjazd obojga do Stanów Zjednoczonych przed 83 laty.

W dotychczasowych publikacjach utrzymywano, że Henryk Sienkiewicz jako młody felietonista „Gazety Polskiej” wyjechał na drugą pół kulę w ślad za Dickensem dla napisania cyklu reportaży. Był to rok 1876, kiedy to otwarto w Filadelfii wielką wystawę obrazującą ambicje przemysłowe młodych Stanów Zjednoczonych. Tymczasem za miar wyprawy transatlantycznej powstał rok wcześniej w salonie Modrzejewskiej. Aktorka zniechęcona intrygami w środowisku teatru warszawskiego postanowiła rzucić scenę i osiedlić się w Ameryce. Plany te popierał drugi mąż Heleny — Wielkopoleanin Karol Chłapowski wraz ze swym przyjacielem Sypniewskim, również naszym krajanem. W salonie aktorki rojono utopijne wizje jakiejś fermy, która miałaby mieć cechy staropolskiego dworku szlacheckiego. Do entuzjastów założenia

małej kolonii polskiej na Dzikim Zachodzie przyłączył się szybko Sienkiewicz. Oficjalnie mówił o swym zapale do polowań na dzikiego zwierza — w rzeczywistości pragnął znaleźć się z przedmiotem swoich ukrywanych uczuć z dala od kraju, w atmosferze posiadającej wszystkie znamiona romantyzmu Jana Jakuba Rousseau.

Postanowiono tedy, że Sienkiewicz wraz z Sypniewskim wyruszą najpierw na rekonesans. Podróż sfinalizowała „Gazeta Polska”. Po przybyciu do USA oboj Polacy udali się do Kalifornii, gdzie znaleźli warunki do osiedlenia. Zakupili więc domek i wysłali list do kraju ze sprawozdaniem ze swych wrażeń i pociągnień. Helena Modrzejewska wraz z synem i drugim mężem wyruszyła kilka miesięcy później szlakiem swych wysłanników.

W początkach października 1876 r. całe towarzystwo zamieszkało w Anaheim (Kalifornia). Przybywszy po zagospodarowaniu zajęli się uprawą gruntu pod drzewa pomarańczowe. Wkrótce jednak okazało się, że mały domek jest za ciasny dla 9-ciorga ludzi, a praca za ciężka dla ich sił. Mimo woli przypominają się tu losy bohaterów „Grona gniewu” Johna Steinbecka.

W styczniu następnego roku mała kolonia polska rozdzieliła się. Sienkiewicz udaje się na zwiedzenie Kalifornii, a Modrzejewska wyjeżdża do San Francisco, aby wystąpić na scenie. Kontakty aktorki z rodakami ułatwia nasz pisarz, który jednocześnie prosi ich o pomoc dla Heleny.

W listach Sienkiewicza znajdujemy entuzjastyczne opinie o szybkich postępach Modrzejewskiej w nauce języka angielskiego, bez znajomości którego występ byłby niemożliwy. W tych samych listach mamy niemniej entuzjastyczne recenzje z pierwszych występów naszej aktorki w teatrach amerykańskich. Pisarz wyraża tu swoje obawy jak na pół

cywilizowani koloniści przyjmą grę „królowej scen polskich”, a następnie z niezwykłą sugestywnością opisuje jej powodzenie. Było to rzeczywiście coś zaskakującego i dla Sienkiewicza i dla Modrzejewskiej.

W korespondencji mamy informację, że pisarz towarzyszył swej znakomitej rodaczce w jej zdumiewającym tournée od San Francisco do Nowego Jorku. Cieszy się, że nieznana poza krajem Polka, zaledwie przyswoiwszy sobie obcy język, gra z taką swobodą i mistrzostwem. Od tego tournée rzeczywiście zaczyna się światowa sława Heleny Modrzejewskiej.

Rośnie uczucie pisarza do aktorki jako kobiety. Pisze w jednym liście: „Jako błażnie! Ty, który jesteś niczym — śmiałeś inaczej do niej mówić jak na klęczkach?” A w recenzji z występu w San Francisco spotykamy takie zwroty: „... jest to sympatyczna postać, tak chwytająca za serce, że kto ją raz widział, ten przysięga, iż podobnej nigdy nie widział na scenie”.

Spotkania Sienkiewicza z Modrzejewską w Ameryce warły również wpływ na twórczość naszego pisarza. Podobnie jak aktorka na scenach kalifornijskich mała Jenny w noweli „Orso” jest uosobieniem niezwykle kobiecego wdzięku, który kontrastuje z prostactwem otoczenia. Takim samym niecodziennym zjawiskiem w karawanie emigrantów opisywanej w noweli „Przez stepy” jest delikatna wiotka, prawie dziewczynna Lilian Morris — przeciwstawienie prostych, krzepkich i zahartowanych poszukiwaczy złota. Postacie bohaterów „Orso”, „W krainie złota” i „Przez stepy” charakteryzuje idealny pełen uwielbienia i własnej miłości stosunek do kobiety — odbicie stosunku autora do Modrzejewskiej.

Sienkiewicz powraca do kraju w marcu 1878 r. po blisko dwuletnim pobycie na drugiej półkuli. Sprowadzając swą rodaczkę do Stanów Zjednoczonych rości o sielance pod pięknym niebem kalifornijskim. Pozostawiając ją w Nowym Jorku żegna aktorkę o ugruntowanej sławie międzynarodowej.

No cóż, los często płata podobne figle.

Józef Modrzejewski



Kruki

CAF — fot. Zd. Wdowiński

Kazimierz Kapitańczyk

Wyprawa po złote runo

HERODOT PISZE: „Kartagińczycy powiadają, że w ich kraju leży wyspa, która nazywa się Kyrain... (zdaje się, iż to dzisiejsza wyspa Kerkona)..., dostępna pieszo (z lądu). Na niej znajduje się jezioro, z którego miejscowe dziewczęta przy pomocy piór ptasich, posmarowanych smołą lub żywicą, wydobywają złoto. Nie wiem, czy to prawda, ale piszę, co powiadają...”

Chwali się ta ostrożność dostojnemu dziejopisarzowi, kiedy wiadomość potonności podaje. My jednak, będąc nieco bardziej nowoczesni, chcielibyśmy współczesną manierą popisać się tu i ówdzie, czy i ile prawdy w tej starożytnej relacji. Nie tylko bowiem na Herodota często się powołujemy, ale i na innych dawno odeszłych mędrców.

„Już starożytni Grecy...” zaczyna wykład jeden — „Nawet starożytni Egipcjanie...” dodaje drugi — „A w ogóle bajki!”, przecina trzeci. A jednak? Ileż to już „starożytnych bajek” no wczesna nauka zapisała do swoich roczników.

Tak też i opowieść Herodota, według zgodnej opinii uczonych, dotyczy pierwocin, okresu kielkowania wielkiej idei twórczej, realizowanej przez współczesną flotację. Chodzi po prostu o wydobywanie cennych okruchów z otulenia skały płożnej. O koncentrację szła chętnych surowców, rozdzielenie mieszanin, oczyszczanie ścieków... Zapewne, iż nowoczesny zakład flotacyjny nie wyręcza się dziewczętami uzbrojonymi w pióra nasmołowane.

Pióra dziś zastępuje piana. Smoły też nie zobaczymy, choć znalazłyby się pewne jej frakcje.

Toteż ważnym zagadnieniem jest sprawa otrzymywania piany. Jej powstawaniu przeszkadza napięcie powierzchniowe cieczy, trzeba je więc zniszczyć. Pamiętamy zapewne naszą gawędę o „płaczącym winie” i „tańczącej kamforze”, kiedy to wyjaśnialiśmy zasadę tego zjawiska. Napięcie powierzchniowe powodują cząsteczki cieczy bardziej zwarte na powierzchni aniżeli w jej wnętrzu. By taką „błonkę” zerwać, wystarczy pomiędzy jej skupione cząsteczki powtykać obce cząsteczki, jak kołeczki w oczka subtelnej gazy. Znamy wiele takich substancji „powierzchniowo czynnych” — są nimi np. kwasy tłuszczowe (znajdują się także w mydle). Cząsteczki ich mają osobliwie ogoniastą budowę oraz pożyteczny obyczaj gromadzenia się na powierzchni cieczy. Dbają przy tym bardzo by im ogonki się nie zamoczyły. Dzięki nim rozrywa się błonka napięcia powierzchniowego i ciecz łatwo się pieni. To zn. bez trudu formuje układ gazowych bąbelczek oddzielonych od siebie ściankami-błonkami z prawie czystej wody. A nadto potrafimy taką pianę w miarę potrzeby utrzymywać, a o zastosowaniu piany wiemy przecież dobrze.

Nie trzeba chyba polecać gąsienic pianowych czy mydeł do golenia. Pianami posługują się uczeni w pracowni analitycznej oraz inżynier np. w fabryce kwasu siarkowego, do usuwania trujących oparów z powietrza. Gdyby zaś nasi piekarze byli nowocześniejsi albo choćby tylko nieco mniej wygodni, zarzuciliby kwas i drożdże, a zaprawiali ciasto chlebowe — pianą. Pianą otrzymywaną mechanicznie z wody, mąki i porcji ciasta przechowanego z poprzedniego dnia. Wypiek taki jest smaczny, pulchny i nie czerstwieje choćby przez tydzień. Mimochoodem też przypomnijmy błogosławioną rolę piany przy praniu, no i wróćmy do flotacji.

Setki milionów ton rocznie koncentratów cennych rud, nieraz dzięki kaprysom przyrody bardzo niskoprocenowo rozproszonych w skale, otrzymuje się dziś przez flotację. Także w Polsce metoda ta jest już stosowana.

Najbardziej istotnym zagadnieniem jest możliwość wydobywania cennych okruchów. „Wydobywanie” to bodaj najtrafniejsze określenie i bardzo przy tym obrazowe. Kojarzy się ono z techniką wydobywania zatopionych okrętów, Ma-

my w tym względzie już poważne doświadczenie i piękne sukcesy. Wiemy, iż do wraku przyczepia się (tzw. stropami) białaste zbiorniki wypełnione wodą. Wodę tę z kolei wypiera się sprężonym powietrzem i w końcu białaki te, jak potworne bąble, podrywają „topielca” i wynoszą go na powierzchnię.

*

Podobnie przedstawia się mechanizm flotacji. Zmieniając ruderę umieszcza się na dnie zbiornika z wodą. Trzeba tylko jeszcze by małe zbiorniczki-pęcherzyki, formowane z powietrza od dołu przez dyszę włączaną, wychwytywały cząstki rudy i unosiły je ku górze. A omijały oczywiście okruchy skały płożnej.

W tym rzecz, by nauka i doświadczenie tak dobrały warunki zjawiska, aby pęcherzyki nabrały potrzebnej „mądrości”. Toteż do kąpieli flotacyjnej dodaje się dwa rodzaje substancji: kolektory i detergenty. Kolektory czyli zbieracze ze szczególnym zamiłowaniem powlekają cząstki substancji flotowanej i usposabiają ich powierzchnię do uczepienia się bąbelczek powietrza — innymi słowy do unikania zwilżania. Natomiast detergenty to substancje, które obniżają napięcie powierzchniowe — sprzyjają więc tworzeniu się piany.

Dziś już flotuje się najrozmaitsze substancje. O flotacji rud była mowa cały czas. Ścieki flotujemy by oddzielić zanieczyszczenia, by oczyścić wodę poprodukcyjną przed odprowadzeniem jej do zbiorników otwartych — kanałów, rzek, jezior czy nawet mórz.

Z flotacji korzysta przemysł szklarski, dla oczyszczania piasku, sposobem tym koncentruje się chlorek potasu (co pozwala wykorzystywać nawet rozcieńczone solanki dla otrzymywania tego cennego produktu), przemysł włókienniczy rozdziela flotacją najrozmaitsze włókna mieszane: wełny, bawełny, juty, różnych odmian włókien sztucznych itd.

Wszystko zaczęło się „od Herodota”, chociaż — cherech la femme! Odkrycia bowiem samego zjawiska flotacji dokonano w roku 1886 angielska nauczycielka Carrie Eversen. I wtedy to otwarto ponownie szlak wiodący po „złote runo” bogactwa społecznego. Położono tamę zatrzymującą coraz skuteczniej potworną powódź ścieków.

Ale! A propos — pamiętacie legendę grecką o wyprawie Argonautów po złote runo Kolchidy? Znacze opowieść? Znacze? No to posłuchajcie!

Wybierali się oni ku południowemu wybrzeżom Morza Czarnego i podbierali tamtejszym autochtonom złote runo owcze. Wiadomo, Grecy to naród mądry i praktyczny — jednemu bogu, Hermesowi, przydzielili resort kupców i złodziei.

(Dokończenie na str. 3) ■

Dzieci na sprzedaż

Pewnego lipcowego dnia na lotnisku Campino w Rzymie zjawiała się uboga ubrana młoda kobieta z dwójkiem małych dzieci na rękach. Podeszedł do niej e-legancki pan, który zamieniał z nią kilka słów odebrał jej dzieci i skierował się wraz z nimi w stronę oczekującego na lotnisku samolotu amerykańskich linii lotniczych. Kobieta pobiegła jednak za nim i z okrzykiem: „nie będę handlować swoimi dziećmi” — wyrwała mu swe pociechy i uciekała do miasta.

Nazajutrz cała prasa włoska pisała o 29-letniej Filomenie Guastafierro, wieśniaczce z Poggiomarino koło Neapolu. Zmuszona nędzą zgodziła się ona sprzedać dwoje najmłodszych z sześciorga swoich dzieci bezdzietnemu małżeństwu amerykańskiemu za cenę 150 tysięcy lirów.

Sprawa Filomeny Guastafierro stała się przedmiotem nie tylko sensacyjnych artykułów, ale również wielu interpelacji w parlamencie. Ustalono bowiem, że w zafolowanych okęgach południowych Włoch, gdzie tysiące rodzin żyją w nieopisanym nędzy, handel dziećmi trwa już od wielu lat. Istnieją nawet cztery organizacje, które delegują do południowych Włoch specjalnych agentów-pośredników. Ci z kolei mają za zadanie wyszukiwać najuboższe rodziny i za odpowiednią sumę kupują od nich dzieci, które są następnie adoptowane przez bezdzietne małżeństwa za granicą, głównie w Stanach Zjednoczonych. Wielu deputowanych włoskich zwróciło się do ministra dla spraw emigracji z żądaniem wszczęcia dochodzenia w sprawie tych organizacji.

Dotychczas jednak rząd włoski nie uczynił nic w tym kierunku. Widocznie w jego mniemaniu handel dziećmi jest mniejszym przestępstwem niż zniesienie słynnej ustawy 353, zabraniającej pod karą sądową wszelkiej regulacji urodzin, nawet stosowania uznanej w kołach katolickich metody Ogino-Knausa.

r.

Nikos Chadzinikolau

Oświęcim

Oświęcim — królestwo cieni królestwo spalonych ludzi każdy skrawek twej ziemi jest kamieniodzwonem męczarni

tu człowiek i po śmierci idąc ścieżkami krwi gryzł język zaciskał zęby

tu świat nigdy nie dojrzał

wy który nie znacie królestwa trzeźnowych ludzi wy który nie znacie królestwa kochających kobiet chodźcie tu usłyszycie ocean jęków zobaczycie ocean włosów oczu głów

Oświęcim — dłoń mojej matki dłoń naszych matek

Oświęcim — początek równika



Janusz Sauer

Kroki

Droga to nie błękit minerały kaleczą stopy serce ostrożnie trzeba nieść przez życie by nie pękło jak trotyl

Pójdę dniem lub nocą nie patrząc w barwy zorzy logiczne jak cyfry stawiając kroki

Lecz gdy serce myśl przekłuje nożem żal pozostanie że nie potrafiłem życia przepłynąć obłokiem

Lipiec 1959.

Geografia głodu czy żywienia?

Powołana przed kilkunastu laty przy ONZ Organizacja dla Spraw Żywności i Rolnictwa (FAO) przeprowadziła dotychczas szereg ciekawych badań, które przyniosły rewelacyjne wyniki (m. in. na podstawie tych badań uczone brazylijski J. de Castro napisał swoją książkę pt. „Geografia głodu”, która stała się słynna na całym świecie).

Badania wykazały, że duża część ludzkości cierpi na tzw. „głód utajony”, czyli na brak jakichś składników pożywienia, niezbędnych dla utrzymania zdrowia. Niekiedy powodem tego „głodu” są warunki klimatyczne, brak składników mineralnych w glebie, najczęściej jednak niezamożność zasad racjonalnego odżywiania i niewykorzystanie możliwości swego regionu.

Badacze powoływali się przy tym na przykład Szwajcarów. W

czasie wojny była ona pozbawiona dowozu żywności, a wysoko postawione rolnictwo szwajcarskie dostarczało tylko połowę zapotrzebowania kalorycznego, niezbędnego do wyżywienia mieszkańców. Sprawa ta zajęła się wówczas wybitny uczonec prof. Wahlen z Zurichu i opracował plan, według którego Szwajcaria mogła wyżywić się sama. Skoro produkcja rolna nie dostarczała dostatecznej ilości niezbędnych składników żywienia — trzeba było ją zmienić. Wprowadzono rewolucyjne zmiany w produkcji rolnej i hodowlanej, obalono tradycyjne nawyki żywieniowe. Eksperyment udał się — w ciągu kilku lat Szwajcaria uzyskała całkowitą niezależność od importu żywności, zapewniając zaspokojenie konsumpcyjnych potrzeb mieszkańców. W podobny sposób poradziła sobie wówczas z trudnościami żywieniowymi Anglia.

Po wojnie na całym świecie zaczęła się szerzyć wiedza o odżywianiu. Powstała nawet specjalna nauka — eutenika, zajmująca się czynnikami oddziałującymi z zewnątrz na człowieka. W zakresie euteniki wchodzi nauka o żywieniu, dietetyka, nauka o kulturze życia codziennego, o higienie osobistej, o fizjologii pracy, stanach rozwojowych człowieka. Eutenikę wprowadza się na katedry uniwersyteckie, do instytutów naukowych, na wszystkie szczeble nauczania. (K-Api)

Pomnikowe dzieło o Śląsku

W serii monografii regionalnych zapoczątkowanych przed 10 laty przez Instytut Zachodni ukazało się w tych dniach kapitalne dzieło zbiorowe pt. „Górny Śląsk”. Jest to obszerna praca zawarta w dwóch tomach, z których każdy ma przeszło 500 stron obficie zdobionych ilustracjami.

W zakresie materiałów historycznych monografia sięga po rok 1945. Udział Śląska w budowie Polski Ludowej omawia VI tom cyklu monografii Instytutu Zachodniego pt. „Odbudowa Ziemi Odzyskanych” (1945—1955), nie jest więc do obecnej monografii wiążący.

Praca omawia w pierwszym tomie zarys ogólny a w drugim część szczegółową. Rozpoczyna się od pradziejów Śląska, by przez epokę feudalną, okres kapitalizmu dojść do lat dwudziestych bieżącego wieku.

Część szczegółowa jest pewnego rodzaju przewodnikiem krajoznawczym. Monografia ma tytuł „Górny Śląsk”, ale jest to pojęcie historyczne, bo granice jego nigdy nie były zgodne z granicami administracyjnymi polskimi, czeskimi, austriackimi czy pruskimi. Omawiana monografia traktuje Górny Śląsk w granicach XIX i początkach XX wieku, obejmując trzy regiony: katowicko-bytomski, cieszyński i opolski.

Prace nad sporządzeniem monografii rozpoczęły się przed 10 laty w 1949 roku, kiedy to na Śląsk wyruszyła zorganizowana przez Instytut Zachodni ekspedycja naukowa, której skład stanowili profesorowie: W. Czapliński, M. Szczaniecki, G. Chmarzyński, mgr Z. Czeppe, B. Kupiec, doc. J. Mitkowski i mgr M. Suboczowa. Umożliwi to uczonym poznać z bliska teren, nawiązać kontaktów z ludem górnośląskim i zbadać najcenniejszych zabytków sztuki.

Aby wydana monografia była aktualna, przebudowano ją po 1955 roku i uwzględniono zmiany, jakie w ostatnich latach zaszły. W nowych pracach wzięli udział również prof. Z. Kaczmarski, red. L. Ziemia, L. Brożek, M. Gładysz, S. Golański i H. Piasecki. W tej ostatniej formie Instytut Zachodni oddał do rąk czytelników swe pomnikowe dzieło o Śląsku. H. B.



Rybak Lubik podejmuje wonton...

Fot. autora

Rozstawili wontony...

Janek wstaje zasnany. Ledwo trochę wylazła słońce, a już przywalają je chmury; pędzą teraz nisko, tumanami

i wstawający dzień sierpniowy przypomina jesień.

Tym razem nie mogę odwiec wyjazdu nad jezioro, gdyż umówiłem się z rybakiem Lubikiem. Łącząc mnie z nim dawna znajomość, jeszcze z roku pięćdziesiątego, kiedy to znalazłem się nad Śremskim podczas odlawiania tarlaków siecią.

... Jezioro Śremskie należy do typowych jezior siewskich, jakich gospodarstwo rybactwa Lutom posiada wiele. Tuż obok Śremskiego leży jezioro: Hallińskie Małe, Ławickie i Januchowskie. Śremskie jest spośród nich najlepsze. Woda ma czystą, bez zakwitów, o kolorze szmaragdowo-zielonym; głębokość dochodzi w nim do 50 m. Niestety, dno jest zawałone kamieniami (układ polodowcowy), które stanowią poważną przeszkodę dla sieci gąsieniczych.

Nad Śremskie jadę motorem. Nie zastaję Lubika przy rybakówce. Deszcz nie pada. Przede mną leżą wody jeziora. Przypominają kształtem wielką misę, której boki wznoszą się ku otoczeniu niebu ścianami zieleni; wokół chaszcze, łąki i lasy. Tonie — nieco jaśniejsze od szarego pułapu chmur, odbijają gęste podszycie brzegów.

Niebawem zjawia się na rowerze Lubik; wraz ze swoim pomocnikiem Hozbergiem. Witamy się jak starzy przyjaciele. Jest bardziej szczupły, lecz wygląda czerstwie i zdrowo. W oczach — jak zwykle — ogniki przekory. Przedstawia mi swego pomocnika: wysoki i zgrabny młodzieniec.

Nie mierzają. Raz po raz spoglądają na zasnutie niebo. Biorą dla siebie większą łódź.

Hozberg zrecznie wylewa z niej wodę. Mnie dają mniejsze czółno. Odbijamy z przystani.

Podciągamy za nimi. Chmury opadają jeszcze niżej, opinam się szczerzej płaszczem. Rybacy nakładają kapuzy brezentowe. Płyniemy. Wody leżą martwo, przypominają gęstą asfalt. Miarowo skrzypią dulki, z wiosła kapie woda. Pozostawiamy za sobą oczeret i trawersujemy jezioro, zdążając do linii spławów, które wyznaczają miejsca zatopionych sieci — wontonów.

— Dużo ich zatopiliście? — pytam.

— Szesnaście.

Płyniemy dalej. Wkrótce na matowym lustrze wody dostrzegam przerwaną linię. Spławie — myślę. Zbliżamy się do pierwszej wiązki sito-

wia. Rybacy odkładają wiosła. Lubik zaczyna podbierać spławie. Odwija je i ciągnie linkę, za którą wynurza się z toni skraj sieci — wontona. Brązowa sieć skręży się, ocieka wodą, jest delikatna jak pajęczyna.

... pociągłymi siłami wprowadzono w te wody w okresie wojny, lecz właściwie nasilanie materiałem siewowym rozpoczęło w latach pięćdziesiątych. Przed wprowadzeniem pociągłymi siłami dominowały tu leszcz i płoć. Materiał zarybieniowy uzyskuje gospodarstwo z własnych wód, przy czym proces wyklucia i podchodu wylęgu odbywa się w osrodku zarybieniowym gospodarstwa w Jezioronie. Corocznie na 1 ha powierzchni jeziora wpuszczane jest ponad 20 tysięcy sztuk wylęgów. Siława rośnie bardzo szybko i już po

podstawowej, do której uczęszczali razem z polskimi dziećmi, wyróżniały się pilnością. Nigdy nie było mowy o niedobrobie lekcji czy wagarowaniu. Niektóre dzieci uczyły się nawet nocami, co oczywiście kierownictwo domu energicznie zwalczało. Nie było przy tym żadnej niezdrowej rywalizacji z dziećmi polskimi. Między skośnokimi wychowanymi domu a polskimi Janekami i Marysią z Świdry i Faleńcy zawiązała się serdeczna przyjaźń, czego dowodem są chociażby wieczerzki w pamiętnikach maty Kozłowskiej wierszyki w rodzaju: „Ty pójdziesz, góra, a ja dolina, ale nasze serca nigdy się nie rozminą”.

Wrócić jednakże do tego jesiennego dnia sprzed ośmiu lat, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam koreańskie sieroty w Polsce. Okutane były w grube chińskie kaftany, związane jak worki na wychudzonych postaciach. Spod dawno nie strzyżonych czupryn patrzyły oczy nieufne, jak gdyby nie oswojone jeszcze z widokiem całych domów i przyjaznych twarzy.

Wśród mazowieckich sosen i jarzębin te dzieci wojny odzyskały jasność spojrzenia, wiarę w ludzi, wszystko, co składa się na szczęśliwe dzieciństwo. Poznały też najgłębszy sens idei internacjonalizmu. Teraz wrócą do swego kraju, który po latach odbudowy może im już zapewnić dobre jutro.

MARIA JAWORNICKA



W warszawskim ZOO — czaple na gnieździe

CAF. Fot. Dąbrowiecki

„W moim ogródeczku rośnie różyczka, napój mi Marysiu mojego konika...”

Popularna piosenka ludowa, śpiewana nieco cudzoziemskim akcentem, prowadzi mnie nieomylnie do domu sierot koreańskich w Świdrze. Za chwilę „ładuje” pośród rozkrzyczanej gromady dzieciaków, z których każde ma skośne oczy i oliwkową buzię, teraz w sierpniu opaloną na kolor mlecznej kawy. Moja wizyta w Świdrze jest już wizytą połączoną; za kilka dni koreańskie sieroty wojenne, które Polska przed ośmiu laty przyjęła pod swoją opiekę, powrócą do ojczyzny. Pierwsza partia dzieci, z innych polskich ośrodków wychowawczych, wyjechała już 6 bm. Dzieci ze Świdry wyjadą lada dzień.

Wokół tej właśnie, najbardziej aktualnej dziś sprawy, toczy się rozmowa matych gospodarzy z „polską czarnulka” (takie bowiem przewzrostko zyskała moja skromna osoba). 15-letnia Ri Hion Sun ma do zakomunikowania radosną wiadomość: od członków delegacji rządowej Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej, bawiącej obecnie w Polsce celem odebrania sierot koreańskich, dowiedziała się, że jej zaginiony podczas wojny ojciec żyje i pracuje we władzach Koreańskiej Partii Pracy. Można sobie wyobrazić, z jaką niecierpliwością Ri Hion Sun oczekuje

je dnia wyjazdu. „Wiozę tatuiowi piękny skafander z Galluxu — zwierza mi się. Kupiłam go za wszystkie moje oszczędności”.

Na 16-letnią Ko Ok Nio, właścicielkę uspaniałych, sięgających niemal do kolan warkoczy, niestety, nikt nie czeka. Jest ona zupełną sierotą i po powrocie do kraju mieszkać będzie w internacie. „Będę chodziła do szkoły średniej, a potem może na wyższą uczelnię. Bardzo lu-

dają za słodyczami, natomiast ogromnie lubią ryby, które przeważnie sami łowią w pobliskiej rzeczce Świder i zwyczajem koreańskim suszą na słońcu. Wielką ich namiętnością są dalekie wybieżki, zwłaszcza w góry, które wolą niż morze. Nade wszystko zaś lubią swój dom i wychowawców, szczególnie „tatę” Megiela i „mamę” kierowniczkę Aniele Marcza-kową.

A jakże trudno było z po-

cielskim pociskiem. Oszałałe ze strachu dziecko rzuciło się przed siebie, na oślep. Gdzieś po drodze zaopiekowali się nim inni uciekinierzy i dołączyli do transportu, który wyjechał później do Polski. „Opowiadałam o tym dopiero teraz — powiedział Ri Kim Hin — ale trzeba mi było aż ośmiu lat, aby się przekonać, że jesteście dobrzy i nie chcecie robić nam krzywdy”.

Ogromne trudności były

ODZYSKANE DZIECIŃSTWO

bie geografii, chcę poznać dużo różnych krajów, a najbardziej pragnęłabym pojechać na Biegun”.

Małenka jak laleczka Cze Czun Wan, ulubienica miejscowej higienistki, „zaraziła się” od niej zamiłowaniem do wiedzy medycznej i pragnie zostać pielęgniarką. 15-letni Kim Sun Man będzie się uczył budowy okrętów w rodzinnym porcie Sarrivon. Na razie struga małe okręciaki z kory sosnowej. Ma już pokaźną kolekcję, którą zabierze ze sobą do kraju.

Pogawędka staje się coraz bardziej przyjacielską i bezpośrednią. Mali Koreańczycy nie znoszą mleka — o dziwo! — niezbyt przepa-

czatku pozyskać zaufanie tych dzieci! Nauczyciela matematyki, pani Hania, opowiada o chłopcu Ri Kim Hin. Był on niezwykle krnąbrny i uparty, nie reagował zupełnie na serdeczność okazowaną przez polskich wychowawców i w przeciwieństwie do innych dzieci nigdy nie mówił nic o sobie. Przed kilku miesiącami, ni stąd ni zowąd zaczął mówić. Matka jego uciekając nocą ze spalonej wioski, niosła go na plecach. Ri Kim Hin spał tak mocno, że nie obudził się nawet wtedy, gdy matka osunęła się ze swym ciężarem na skraj drogi. Nazajutrz rano daremnie szarpał matczyne spódnice, wołając „omoni, wstań!”. Matka już nie żyła, zabiła nieprzyja-

także z nauczaniem języka polskiego. „Język koreański — mówi pani Marczakowa — jest pełen pięknych przenośni i obrazowych określeń, trzeba więc było mówić do dzieci tak samo po polsku, aby lepiej przyswoiły sobie nasz język. Ta metoda dała dobre wyniki, dzieci mówią już dziś zupełnie poprawnie po polsku, chociaż nie mogą jeszcze wymówić naszych „sz” i „cz”. My, nauczyciele, z kolei — śmieje się kierowniczka — nauczyliśmy się tak biegle operować metaforami, że nieraz między sobą mówimy w podobny sposób”.

Wiele trudności pozwalała przezwyciężać niezwykła uprzejmość i obojętność dzieci. W szkole

2 latach nadała się do odlawiania i konsumpcji.

Po chwili w ścianie wontona błyska srebrnym sylwetką ryby. Pierwsza siława. Jest dorodna: prawie 30 cm długości. Wyrażam głośne zdziwienie.

— Siławę mamy ładną — potwierdza Lubik. Wczoraj wyciągnęliśmy jedną o wadze ponad 600 gramów. W tej wodzie bardzo szybko przyrasta. Dobre warunki. Tyle że w latach poprzednich przełowiliśmy i teraz maceczne stado nie może jakoś okrzepnąć. Płyniemy następnie w stronę drugiego brzegu jeziora, gdzie zastawiono dalszą porcję wontonów.

Rozjaśnia się i spoza zasłony rzadkich chmur przebiega słońce. Blask razi oczy, odbija go lustro wody. Tonie nabierają koloru szmaragdowego; na tle ścian ciemniejszego lasu brzegi polyskują intensywną zielenią. W oczerecie odzywa się ptactwo wodne. Nad nami kołują rybołowy.

Lubik podnosi głowę, mruży oczy i burczy pod nosem.

— Czekają bestie na swój przydział. Zbierają śniętą rybę...

... odlów siławy dokonywany jest dwa razy w roku: latem i jesienią. Jesienią chwytane są jednocześnie tarlaki dla pozyskania z nich ikry. Do połowów stosuje się wontony wysokie na 5 m (dawniej używano przewłok), przy czym stawia się je na głębokości od 5—12 m, operując rozmałą wielkością ocz w sieci, w zależności od przyrostu pogłowia. Wontony stawiane są z wieczora a podejmowane rannymi. Najbardziej obfite połowy dają noce burzliwe, kiedy skolowane ławice ryb ubijają się w sieci najliczniej.

Potem zabierają się z Hozbergiem do drugiego zestawu z wontonami. Upiywa jeszcze jedną godzinę, zanim kończą z podnoszeniem sieci. Połów tego dnia jest słaby; zaledwie pół skrzyni. Nie narzekają jednak. Likwidują dzisiaj prace na Śremskim a od poniedziałku zabierają się do Jeziora Ławickiego.

Wracamy do przystani. Niebo ponownie zasnuwa się chmurami. Tym razem zwiastuje niechybny deszcz. Spody łodzi szorują dno, gdy pierwsze krople plaskają po wodzie.

Chowam się do szopy, podczas gdy rybacy przystępują do porządkowania sieci. Wynoszą z łodzi wontony i rozwieszają je na drewnianych poprzeczkach, rozkładając ostrożnie chwytliwe zwoje przedziły.

... sieć stanowią bardzo ważną pozycję w gospodarstwie rybactwa i dobra konserwacja materiału sieciowego w dużym stopniu przyczynia się do obniżki kosztów. W efekcie: większe dochody. Chodzi tu zarówno o prawidłowe zaimpregnowanie sieci, o konserwację w trakcie połowów jak i o przechowywanie ich w miejscach suchych i przewiewnych (obawa przed gniciem i myszami).

Kończą wreszcie z rozwieszaniem wontonów i przycho- dzą do rybaków. Ustaje także deszcz. Siadają. Częstują ich papierosem i rozpoczynają pogawędkę. Pytam Lubika o żonę, dzieci, o zarobki. — Nie najgorzej! W chacie wszystko w porządku. Dzieci dorastają (ma ich troje). Najstarszy syn, ilekroć zabieram go na wodę (8 lat), skacze z łodzi na środku jeziora...

— Będzie rybakiem? — przerywam.

— Chyba...

— A jak tam z zarobkami i jak idzie robota? — dopytuję, przypominając sobie, że nie tak dawno jeszcze zarabiali rybacy po kilkaset złotych miesięcznie.

— Rozmaicie... do półtora tysiąca, wyciągam — uśmiecha się Lubik. Wprawdzie ci, którzy mają wody węgorsze zarabiali więcej. Ale i ja nie narzekam. Odzież ochronną otrzymujemy z gospodarstwa; także buty gumowe. A w ogóle, to teraz jakoś spokojniej się gospodaruje. Mniej nerwowości i nie ma takiego poganiania...

— A wam, Hozberg — pytam — podobają się rybaczka? Młody strzelista jak dębek, męczył się, prostuje się jeszcze bardziej i odpowiada: — Podobają mi się. Pozostałe przy rybaczce. Teraz jeszcze pójde do wojska...

Zbieram się powoli do wyjazdu. — A przyjeżdż pan znów — woła za mną rybak — i przynieść trochę nowości z szerokiego świata.

Marian Jaśkowski

Porozumienie uczonych bez rozgłosu

Prezesi amerykańskiej i radzieckiej Akademii Nauk: Detlev Bronk i Aleksander Niesmiejajew podpisali ostatnio porozumienie, koronujące wielomiesięczne prace przygotowawcze z obu stron, których celem było ustalenie programu współpracy uczonych. Najistotniejsze w porozumieniu jest to, że współpraca wychodzi daleko poza ramy wzajemnej wymiany dzieł naukowych. W ciągu 2 lat około stu wybitnych — jak stwierdza wyraźnie dokument — uczonych radzieckich i amerykańskich będzie prowadziło wykłady i seminaria oraz brało udział w pracach badawczych w instytutach i laboratoriach drugiego państwa. Czas pobytu każdego z uczonych waha się pomiędzy miesiącem a rokiem.

Porozumienie stanowi więc bardzo poważny krok naprzód na polu rozwoju i zbliżenia nauki światowej, w której Związek Radziecki i Stany Zjednoczone odgrywają zdecydowanie przodującą rolę. Międzynarodowy Rok Geofizyczny uczynił niemało na rzecz tego zbliżenia. Wizyty uczonych amerykańskich w ZSRR i radzieckich w USA przestały być wydarzeniem dnia. Dotychczas jednak były to w większości podróże kurtuazyjne i zapoznawcze, które w najbliższej przyszłości ustąpią miejsca prawdziwie roboczym wyjazdom i sesjom. Jakże korzyści wyniesie z tego sama nauka?

Przed wszystkim należy zająć się odkryciem, jakiego dokonali uczeni amerykańscy po wizytach w Związku Radzieckim. Otóż ich zdaniem — przy zachowaniu obecnego tempa rozwoju — w ciągu najwyższej dziesięciu lat nauka radziecka wysunie się poważnie przed amerykańską w różnych dziedzinach, jak atomistyka i kosmologia, geologia i astronomia, chemia i medycyna, a jeszcze poważniej pod względem rozwoju kadr naukowych. W tym ostatnim przypadku istniejąca już obecnie różnica wywołała duże zaniepokojenie w amerykańskich kołach naukowych. Krajowa Akademia Nauk w Waszyngtonie ma przede wszystkim charakter doradczy i administracyjny, jednak nie kontroluje całokształtu badań naukowych.

Akademia Nauk ZSRR liczy ponad 11 tys. naukowców, pracujących w 80 instytutach, bezpośrednio jej podległych. Do tego dochodzi ponad 700 instytutów, które pozostają pod opieką i kontrolą akademii republik radzieckich i różnych resortów rządowych, szczególnie przemysłowych i zdrowia. Jeśli chodzi o ilość publikowanych prac naukowych, to rozpiętość staje się jeszcze większa, co stwierdzają zgodnie uczeni amerykańscy.

Amerykańsko - radzieckie współzawodnictwo naukowe jest widoczne dla każdego, choćby w takiej dziedzinie badań, jak przestrzeń kosmiczna. Wkrótce minie druga rocznica wystarzenia radzieckiego satelity, pierwszego sztucznego satelity Ziemi. Krąży wokół Słońca radziecka planetoida. Obie strony dokonały już pomyślnych prób z wysłaniem w przestrzeń pozaziemską zwierząt i sprowadzaniem ich z powro-

Wyprawa po złote runo

(Dokończenie ze str. 1)

Otóż pewien autor tak całą legendę na ludzki język przekłada: „Złote runo” to zwykłe skóry owce, którym mieszkańcy tych okolic przeznaczali rolę kolektorów. Zanurzeni w rzekach i strumieniach, które niosły muł i piasek złotoosny. Złoty pył uciepiał się na tłuszczoną sierści a materiał płonny spływał dalej. Argonaucci zabierali po prostu „nasycone” złotem skóry.

W Kartaginie były pióra — w Kolchidzie wełna. Tam używano smoły, tutaj jej rolę spełniał naturalny tłuszczonek wełny (lanolina). Młode Kartaginki ruchem rak wychwytywały pył metaliczny, owce skóry opłukiwała woda.

Urok legendy nie traci nic na tym uczonym tłumaczeniu. Przeciwnie — „już starożytni wiedzieli!”

A my powiadamy mniej utoczno i bez poezji — FLOTA-CJA!

tem. Amerykański „projekt Merkury” zakłada dokonanie podobnego eksperymentu z człowiekiem w ciągu 2—3 lat. Kto znajdzie się pierwszy na Księżycu? — pytanie takie pasjonuje od miesięcy światową opinię. Wiadomo już jedno: będzie to albo obywatel radziecki, albo amerykański.

Oczywiście, mniej spektakularne jest to współzawodnictwo w tak ścisłych naukach, jak matematyka i fizyka. Pod Moskwą czynny jest przeznaczony do rozbijania atomów akcelerator, uzyskujący przyspieszanie cząstek z energią 10 mld. elektronowolt. W walce o pierwszeństwo Amerykanie przystąpili do budowy akceleratora z energią 50 mld. elektr. wolt. Związek Radziecki zapowiada budowę podobnego przyrządu o energii 100 mld. elektr. wolt! Obie strony mają już gotowe plany budowy najbardziej potężnych na świecie radioteleskopów (obecnie przodują na tym polu Anglij, których teleskop w Jodrell Bank odbiera sygnały gwiazdne rzędu 2 mld. lat świetlnych; amerykańskie i radzieckie mają mieć zdolność rzędu ok. 40 mld. lat św., tj. teoretycznie — kresu kosmosu).

Zbliżenie nauki amerykańskiej i radzieckiej, oparte już o trwałe formy porozumienia, jest wydarzeniem, którego wagę każde doceni. Nauka współczesna posiada tajniki zdolne do zniszczenia ludzkości. Ale siła atomu lub promieniowania może dać również dobroczynne wyniki. I w tym kierunku wspólnie będą zmierzać uczeni dwóch mocarstw, których priorytet jakościowy i ilościowy w technice i związanych z nią naukach jest bezsporny. Zbliżenie następuje bez rozgłosu. Brak jego nie pomniejsza jednak w niczym faktu, który należy zanotować z wielkim zadowoleniem. (API)

Grzegorz Tyński



I cóż tak acan gały na mnie wytrzeszczasz? Nie widziałeś jeszcze tego? Toć przecie tabakiera. A popatrz bliżej. Sam „Tadeusz Kościuszko, naczelnik najwyższy siły zbrojnej narodowej w upomniku własnoręcznie utoczył dla Stefana Sokołowskiego r. 1803” — jak napisano na dnie. Zaczęj roboty, prawda? W Szwajcarii nasz bohater siedząc, nie lubił przynawać, każdą chwilę wolną wykorzystywał, mawiając że żywot za krótki jest, by przynawać. A przy tej robocie odpoczywał. Także książę Karol Radziwiłł parat się wyrobem tabakier, ino nie dla odpoczynku, ale z nudy, co go zjadała. Jedną szkatułkę z kości słoniowej własnej roboty Stanisławowi Augustowi na zamku w Nieświeżu wręczył. — Tu mój rozmówca jeszcze raz pudełeczko otworzył, nasypał sobie szczyptę na dołek dłoni i ciągnął dalej.

— Nie przednia ta wasza tabaka. Za moich dziejów, w latach Sasów na posadzie królewskiej w naszym kraju, pomnę, insza była, a największej sławy zażywała ta, którą wyrabiała warszawska Włoszka z Syrakuz, Srojkosiną przez pospólstwo zwana. Dla lipkości — jak to rzecze proboszcz rzeczycki Jędrzej Kitowicz — przydawała nawet uryny ludzkiej. A to ci tabaka była! — szlachcic pociągnął z dołeczka jedną dziurką od nosa i drugą, a potem kichnął, że święci na ścianach się poruszali.

— Na zdrowie! — rzekłem ogłuszony.

— Bóg zapłać! Uważasz, asan, że w tym kichaniu wychodzą z człowieka wszystkie zła i wewnątrz się oczyszcza. Mówimy się nawet po kichaniu w tłumie poznawali... Ja tak baę, a tobie, zacny Skrybo, o co innego chodzi. Pytaj się asan, zanim kogut nie zapieje.

— Rzeknij mi dobrodzieju, a miły bracie, czy jeszcze kto ze sławnych naszych pradzadów wyrobem tabakier się trudził? Toć i za moich teraz czasów wielu dla odpoczynku i umiłowania rozmaite rzeczy czyni. Znam i takich, co pisanie wierszy czas sobie zajmują, lub landszafty malują jak ów Chur-



Hala Gąsienicowa

Foto-Henryk Dera

Piaski dadzą stal

Woda pieniała się obracając wielkie koła wodnego młyna, do którego wożono na rozkaz króla Zygmunta Starożytnego potępianego w kamieniołomach Nowego Targu granit. Przez kilka lat król Zygmunta wydobywał z granitu złoto, aby udowodnić, że jego inżynierowie i hutnicy potrafią wydobyc kruszec z tatrzańskich skał.

Do każdego grama złota Zygmunta Starożytnego dokładał trzy inne. Podobnie jest obecnie z polską stalą: koszt jednej tony rudy sprowadzonej z zagranicy wynosi od 12—14 dolarów!

Jak zapewnić hutnikom polską rudę żelaza?

Nieopodal Starachowic znajduje się mała osada — Zębce. Położona małowrotnie budzi zainteresowania turystów, którzy chodzą po górach. Jeśli dotrą do Zębca zobaczą rudę potok. Struga nazywa się inaczej, ale każdy, kto spojrz na jego mętne, rude wody, nie nazwie go Baranem, tylko właśnie rudym.

Niezbyt szeroka struga wody przepływa obok wielkiego pola, które pokrywa sypek piasek. Jeśli dobrze się przyjrzeć owemu piaskowi można znaleźć w nim niewielkie okruchy — szorstkie i rdzawe. To ruda żelaza.

W Górach Świętokrzyskich znajduje się 3 biliony ton rudy żelaza pomieszczonej w piasku! Jest to ilość, która wystarczyłaby hutnictwu polskiemu na co najmniej 50 000 lat przy rocznym zużyciu 20 milionów ton! A tyle niebawem będzie potrzebowało nasze hutnictwo...

Cóż z tego, skoro piaski żelaziste Gór Świętokrzyskich nie nadają się do wytopienia w piecach hutniczych. Trzeba je przerobić, wzbogacić.

W jaki sposób? Właśnie nad tym pracują uczeni w Głównym Instytucie Górniczym w Katowicach, w pracowni profesora dr. Korola.

Czy prace, prowadzone przez pana profesora, mają szansę powodzenia? — pytam bez ogródek.

Profesor mówi zdecydowanym głosem:

— Na wzbogacaniu piasków żelazistych uczeni całego świata łamią zęby! Ten problem, ważny jest dla takich krajów, jak Niemcy, Czechosłowacja, Francja, Anglia, Włochy i wiele innych. Wyniki, jakie uzyskali, pozwalają przypuszczać, że problem piasków żelazistych będziemy w stanie rozwiązać.

— Na czym polega metoda opracowana przez pana profesora?

— Zaczniemy od tego, jakie piaski posiadamy w Polsce. A więc 10—20 procent piasków, to piaski uwodnione, o ziarnach od 0,100 milimetrów. Ten rodzaj piasków jest bardzo łatwo wzbogacić metodą osadzania. Natomiast piaski krzemionkowe, a tych mamy ponad 50 procent, trzeba przed osadzaniem poddać zmieleniu. Około 12 procent stanowią piaski związane z gliną, który jest niesłychanie aktywny chemicznie, niemal niemożliwa wzbogacenie wydobytej rudy. Wreszcie resztę stanowią piaski alkaliczne, zawierające tlenki magnezu i tlenki wapnia, które bez żadnych przeróbek idą do wielkiego pieca, bowiem alkalia stanowią tonniki dodawane specjalnie do rud żelaza.

— Czy nie można w takim razie wydobywać tylko piasków alkalicznych?

— Niestety. Ruda musi być bogata w żelazo, w przeciwnym razie wytopienie żelaza nie jest opłacalne. Zlecając nam problem do opracowania, Ministerstwo zastrzegło się, że możemy brać tylko te metody pod uwagę, które pozwalają wzbogacić rudę do co najmniej 30 procent zawartości żelaza.

— Czy udało się to panu profesorowi?

— Ostatnie badania wykazały, że zdołaliśmy wzbogacić nasz piasek do 47,18 procent zawartości żelaza w rudzie. Jednak są to efekty laboratoryjne.

Zasady, na których opiera się metoda profesora Korola są proste: piaski są kruszone na ziarna poniżej 10 milimetrów, ruda oddziela się od piasku, łów i innych domieszek dzięki sile bezwładności, czyli wykorzystaniu różnic w tempie opadania ziarn wymieszanych w wodzie — woda z pomielonymi ziarnami przelewa się na stole drgającym z lewa na prawo i ruda wydziela się po prawej stronie stołu...

Wyniki prac grupy profesora Korola są tak dobre, że obecnie buduje się pod jego nadzorem instalację półtechniczną, która pozwoli określić ekonomiczność opracowanej przez niego metody.

Zegnął profesora dr. Dionizego Korola pomyślałem: Gdyby Zygmunta Starożytnego takich uczonych, wówczas tatrzańskie złoto byłoby chyba tańsze. A jednak dobrze się stało, że profesor Korol żyje w naszych czasach. Dzięki jego pracy za kilka lat — być może — zostanie rozwiązany podstawowy problem polskiej gospodarki — będziemy mieli dość własnej rudy żelaza!

Jerzy Halicki

GUMA DO ŻUCIA

W ubiegłym roku Amerykanie i Amerykanki wydali 300 milionów dolarów na gumę do żucia. Wynosi to 200 sztuk rocznie na jedną parę sześć dziecięcych i dorosłych. Dla miłośników geografii — nitka sporządzona z tej gumy do żucia wystarczyłaby do 60-krotnego opasania Ziemi dookoła Równika. (jr)

SZMERY ŚWIATA

TELE — ZIMNA WOJNA

Minister spraw wewnętrznych Nadrenii — Westfalii Dufhues zabronił wycieczek w programie telewizyjnym filmu, przedstawiającego codzienne życie Chruszczowa. Uzasadniając swą decyzję, Dufhues oświadczył, że na filmie tym premier radziecki wygląda zbyt sympatycznie i widzowie nie mogliby się oprzeć uczuciu przyjaźni dla niego. (n)

FILATELISTYCZNE PORTRETY

Albert Janner, malarz i jednocześnie dyrektor biura turystycznego w Monachium udostępnił zwykłym śmiertelnikom przywilej, przysługujący dotychczas szefom rządów, królom i wybitnym osobistościom. Robi on mianowicie na zamówienie portrety prywatnych osób na znaczkach pocztowych. Każdy może sobie taki znaczek przylepić na list, który wysyła do znajomych. Dyrekcja poczty nie sprzeciwia się temu, żąda tylko — rzecz jasna — aby obok „prywatnego” znaczka przylepiony był także oficjalny znaczek pocztowy.

Janner otrzymuje codziennie setki zamówień na tego rodzaju znaczki. Przeważnie proszą o nie ludzie, którym zależy na reklamie — adwokaci, lekarze, właściciele fabryk i dyrektorzy różnych przedsiębiorstw. Niektórzy zamawiają nawet znaczki z wizerunkiem swych ulubionych psów.

Obecnie Janner przygotowuje znaczki z wizerunkami pierwszoligowej drużyny piłki nożnej Niemiec — Republiki Federalnej. Ponieważ drużyna ta cieszy się w Niemczech zachodnich olbrzymią popularnością, pomysły malarza spodziewa się, że na tych znaczkach zarobi miliony. (n)

STYL EPOKI

„Gdy patrzę na dzisiejszych chuliganów — powie dział ambasador NRF w Turcji, Fritz Oeller — przy pominam sobie swoją własną młodość. Nie wyobrażam sobie, abym kiedykolwiek odużył się w domu rodziców siąść do kolacji bez smokinga”. (m)

WSZYSTKO DLA REKLAMY

Najlepszej jakości koronki na świecie produkowane były dotychczas w szwajcarskim kantonie Aargau. Nie chcąc pozostawać w tyle za swymi szwajcarskimi konkurentami, Japończycy przemianowali je dno z miasteczka japońskich, gdzie również produkuje się koronki, na... Aargau. Wyroby z tego miasteczka będą obecnie wysyłane na eksport z etykietą „Prawdziwe koronki z Aargau”. Może nikt nie sprawdzi... (m)

OCHRONA PRZED TELEWIZJĄ

W Danii uchwalono niedawno ustawę, na mocy której wszystkie lokale nocne będą mogły być otwarte aż do piątej rano, zamiast, jak dotychczas, tylko do północy. Jeden z deputowanych powiedział żartobliwie, że jest to pewnego rodzaju samoobrona przed telewizją, która obecnie tak absorbuje Duńczyków, że nie mają czasu na żadne inne rozrywki.

W związku z uchwałą o przedłużeniu godzin zamknięcia lokali nocnych, duńskie biuro turystyczne wydało prospekt z następującym hasłem: „Turyści, dawcie się w Danii 24 godziny, a śpijcie we wszystkich innych krajach”. (m)

„Złote myśli“ Gruzinów...

Nie należy z ufnością wlażyć do łwiej paszczy.
Gdy nie uda ci się złapać ryby, napij się choć wody.
Lepiej umrzeć niż żyć jak robak.
Kobieta podobna jest do cienia: ucieka, gdy ją ścigasz,
a goni cię, gdy chcesz od niej uciec.
Nie warto spieszyć się z zerwaniem owocu — gdy dojrzeje sam spadnie.
Nie przywiązuj znaczenia do wyciśniętej cytryny.
Najłatwiej jechać udeptaną ścieżką.
Rozumu kobiety nie mierz jej urodą.
Los nie pyta, co kto woli.
Nie wyjmuj szabli przeciwko nieszkodliwym głupcom;
odtrącaj ich zwykłym kijem.
Jeśli żołądz spada — szukaj obok świni.
I kij zakwitnie na urodzajnej ziemi.
Tylko głupiec ucieka od źródła szczęścia.
Dla dobrego człowieka nawet niedźwiedź ma lepsze serce.
Z ziarenka jęczmienia nie wyrośnie róża.

...i przypowiadka turecka

Pewien kupiec postanowił podpalić dom konkurenta. Jak pomyślał, tak zrobił — konkurent spalił się. Sędzia przestuchał przyłapanego podpalacza, lecz życzył sobie wysłuchać poszkodowanego. Dowiedział się jednak, że poszkodowany przeniósł się na łono Mahometa. Zaambarasowany sędzia myślał godzinę aż wreszcie otworzył Koran — źródło wszelkiej mądrości. Tam znalazł wyjście z sytuacji: „... jeżeli poszkodowany nie może stawić się, lecz przebywa w wiadomym miejscu, należy wysłać tam oskarżonego, aby miejscowy sąd mógł go zasądzić...”. Uradowany sędzia kazał więc natychmiast wysłać winnego również na łono Mahometa. Aby można było tego dokonać — kat ścinał mu głowę.

Zebrała: H. S.

Jedziemy nad morze!

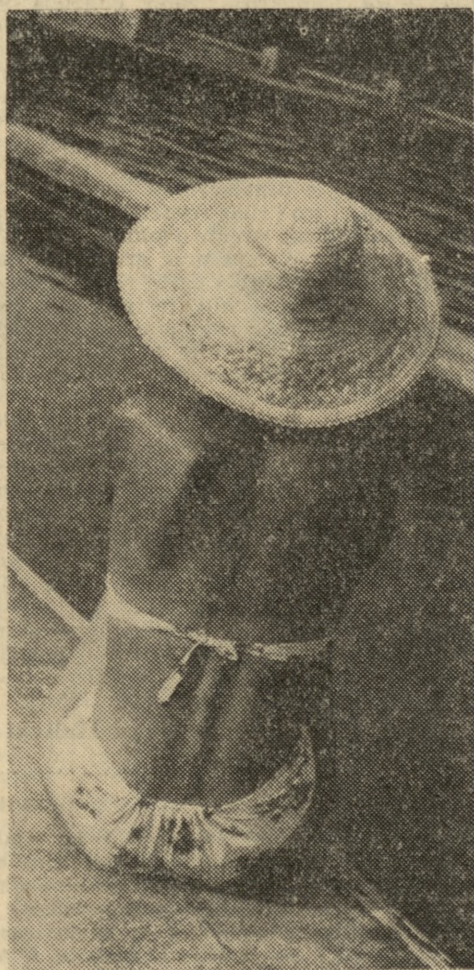


Falochrony przed plażą

Rewal jest niewielką miejscowością na Pomorzu Zachodnim. Nie wyróżnia się właściwie niczym szczególnym. Dopiero gdy się zajdzie nad wybrzeże morskie, można ujrzeć dziwne zjawisko: oto we wsi Stary Trzesacz nie ma ani jednego mieszkańca, a nad wysokim brzegiem stoi jedna ściana kościół. Inne — runęły w dół, a szczątki można ujrzeć czasami przebijające czerwienią przez żółty piasek plaży.

Wyjaśnienie tego zjawiska można znaleźć w Instytucie Morskim w Gdańsku: otóż okazuje się, że w ciągu 7 stuleci brzeg morski w okolicach Rewala, a konkretnie — pod Starym Trzesaczem — cofnął się o około 2.500 metrów. Prądy, panujące na Bałtyku, przyniosły stąd miliony metrów sześciennych piasku na inne tereny, przede wszystkim w okolicach Łeby. Kościół, którego resztki absydy i po łudniową ścianę jeszcze widać, ruina już dawno do morza. Nie o tę budowę jednak chodzi: otóż w wielu miejscach widać w morzu, przed plażą, szare prostokąty falochronów. Mają one chronić brzeg przed niszczącym działaniem prądów Bałtyku.

W ciągu kilkunastu lat państwo polskie wydatkowało rocznie około 10 milionów złotych na badania naukowe, sadzenie traw, jak również znaczne fundusze na budowę falochronów zabezpieczających brzeg przed niszczącym działaniem prądów Bałtyku.



P I O N O W O P O Z I O M O

Fot. (3) Tadeusz Drankowski



NIEPART — wioska w powiecie gostyńskim. Narodziła się ona w bagnistej puszczy. Pochodzenie to zdradzają nazwy pobliskich uroczysk leśnych, jak: Nakły (biota), Bukowina. Dawniej cichy, leśny zakątek określano, jako „bór huraganem nieparty”.

Był zamek, otoczony fosą. Zjadł go czas; resztę jeszcze dziś oglądać można w parku. Już w roku 1240 istniała parafia, kościół tu miał być zawsze murowany. Pierwsi, znani właściciele, należeli do rycerzy dość krewkich i zaczepnych. Zapisł stare mówią, że w roku 1271 płądowali dobra biskupa wrocławskiego w okolicy Millcza.

Równo 201 lat później, Niepart przeżywał nie lada sensację. Oto w towarzystwie zbrojnych przyjechał tu Mikołaj Borek Osiecki z Osieczki z apetytem na pannę Agnieszkę Niepartką. Nie zastał jej we dworze, więc poszedł do kościoła, gdzie nadobną Jagusię na oczach jej matki przemocą zabrał i zaraz w noc nadchodzącą kazał na Zamku w Osiecznej dać sobie ślub.

Na marginesie tego najazdu warto dodać, że matka Niepartka zeznała, iż napastnikowi towarzyszyło 160 szlachty i 310 „podlejszych” ludzi. Inni świadkowie podali, że tylko 25. Z tego wynika, że Osiecki nie był zwykłym, średnim



szlachcicem. Musiał też mieć mocne plecy, bo za porwanie dziewczyny (według prawa płacono się głową) nic go nie spotkało. Tylko tyle, że starosta Jagusię odebrał, a biskup ślub unieważnił, ludzie zaś mieli co opowiadać przez wiele lat.

Pierwsza wzmianka o szkole w Niepartce mówi o roku 1363; a więc za trzy lata okazała się jubileuszowa...

NIESTACHÓW — dzisiaj część Poznania. Wieś od r. 1253. Nazwa najprawdopodobniej od Niestacha, a więc tego, który nie jest Stachem, albo nie należał do Stacha. (JP)

Elektrownie słoneczne

Słońce wysyła na Ziemię ogromne ilości energii. Oblicza się, że w ciągu kilku dni jest jej tyle, ile przez miliony lat zgromadziło się w dostępnych nam pokładach węgla i ropy. Wskutek jednak rozłożenia się tych ilości energii na ogromnej przestrzeni, jeden m² naszej planety otrzymuje nieznacznie ilość, bo zaledwie 1 kW mocy. To też ilość energii, równa tej, jaką daje jedna elektrownia ciepła — gromadzi się na Ziemi na ogromnej przestrzeni.

Dzięki półprzewodnikom, nauka zna już sposoby rozwiązania tego zagadnienia: poprzez zastosowanie fotokomórek i termopar z półprzewodników. I jedne i drugie potrafią zamienić energię słoneczną w elektryczną. Niestety, jest to rozwiązanie tylko teoretyczne, gdyż kilowaty mocy elektrycznej, otrzymane przy użyciu fotokomórek, kosztowałyby zbyt drogo. Specjaliści stawiają tu raczej na półprzewodnikowe termopary, starając się obniżyć koszty otrzymywania energii do kosztów zwyczajnych elektrowni. Skoro się to uda — energetykę czeka nowa epoka. Obliczono, że dzięki metodzie zamieniania energii słonecznej w elektryczną za pomocą półprzewodnikowych termopar — powierzchnia kwadratowa o boku 100 km może zasilić energią elektryczną całą kulę ziemską. (K-Apl)

Coś w rodzaju pocztu wczasowej

AUTO-KLOPS?



Fot. — Głos

Nie sugerujcie się tym nieco karykaturalnym choć autentycznym zdjęciem przed stawiającym decydujący moment w cygańskim życiu każdego autostopowicza: sygnał dla zbliżającego się pojazdu. Nie myślcie, że znajdziecie tu opisy jakichś zabawnych przygód lub kawałów nie z tej ziemi. Nic podobnego. Sprawę potraktujcie jak najbardziej poważnie, bo też jest ona problemem i dla kierowców, i dla tysięcy wyznawców auto-stopu, i dla dziesiątków tysięcy, którzy w latach następnych z pewnością przejdą do ich obozu.

Miałem ostatnio kilka dalszych wyjazdów samochodem, więc naocześnie przekonałem się, jaką popularność, zwłaszcza wśród młodzieży studenckiej, zdobyła ta forma podróżowania po kraju. Na wylotach szos prawie każdego większego miasta spotkać można kilkunastoosobowe grupy posiadaczy książeczek auto-stopu, czekających w przydrożnych rowach na okazję zabrania się samochodem. Jeżeli złapią pułapkę ciężarówkę, mogą się zabrać wszyscy, jeżeli auto osobowe — jeden, dwóch, a wyjątkowo trzech szczęściarzy.

W imieniu auto-stopowiczów i kierowców wołam więc o podział konkursu dla szoferów na 2 osobne kategorie: wozów osobowych i ciężarowych. Ci pierwsi też będą mieli szansę, a ci drudzy nic nie stracą.

Problem drugi, to sprawa sprzedaży książeczek. W praktyce sprzedają je w PTTK każdemu, kto zapłaci 25 złotych. Nie brak więc cwaniaków, którzy posługują się auto-stopem wcale nie w celach turystycznych. Owych cwaniaków każdy inteligentniejszy kierowca rozpozna z łatwością. Chociaż dostanie kupon, czuje się trochę oszukany. Potem cierpi na tym prawdziwi turyści, bo kierowca zaczyna mieć uprzedzenie i po prostu — nie zabiera nikogo.

Jeszcze jedno. Zaden z kilkunastu tysięcy spotkanych przeze mnie turystów, bo autostopowicze nader rzadko korzystają z hoteli, nie przestrzegali obowiązku meldowania — cytuję z pamięci regulamin — „w miejscu, gdzie przebywa ponad 24 godziny”. Kiedy pytałem o powody kolizji z przepisami, słyszałem z reguły: — Tracić pół dnia na urzędy?!

Nie wiem, czy jest sens uczyć młodych ludzi bimbania z zarządzeń nie wiem czy jest sens ustalać przepisy, których nikt nie przestrzega.

Nie jestem przeciwnikiem auto-stopu, wręcz przeciwnie — cieszę się, że ta tania forma poznawania kraju zdobyła wśród młodzieży, nigdy nie grzeszącej nadmiarem złotych w kieszeni, tylu zaprzysiężonych entuzjastów. Intencją, która przy świecał zawartym tu uwagom jest szczera chęć przyjęcia z pomocą entuzjastom „czaru cudzych kółek” — jakby powiedział Przekrojowy Salami Kożerski i obawa, by auto-stop nie zamienił się w auto-klops.

MARIAN FLEJSIEROWICZ